

## Dom na wzniesieniu

Pamiętam dom. Stał na skraju płaskiego wzniesienia, które wydawało mi się wielką górą. Po latach, kiedy tam wracałem, zawsze przekonywałem się, że nie była to żadna góra. Była tylko dolina. Dolina Szprotawy, leniwej rzeki mojego dzieciństwa. Na skraju tej doliny, może ze trzysta metrów od rzeki, na wyniosłości, stał mój rodzinny dom. Od sąsiedzkich domów wyróżniał się tym, że był bardziej odrapany, z wielkimi płatami po odpadniętym tynku. Długo nie rozumiałem, czemu akuratnie taki był, inny od innych. Nie miałem zresztą czasu zrozumieć. Po raz ostatni widziałem go całym, kiedy miałem może dziesięć lat. Wtedy już mieszkaliśmy w Trzmielcu, ale wracaliśmy do Parchowa<sup>11</sup>, bo tam została mieszkać ciotka Sandra z wujkiem Sztefanem, a kiedy on się zabił – z wujkiem Onufrym, a kiedy ten umarł – z kolejnym wujkiem, na którego imię nie zwróciłem już niestety uwagi. Jeździliśmy do Parchowa furmanką. Jeździłem te dziesięć kilometrów i sam. Rowerem. Póki nie rozebrał go Mytro. On wszystko rozbierał, najchętniej zegary i kołchoźniki. Później, gdy dorósł, dał sobie wpisać w dowodzie imię Mieczysław, ale chyba nie dlatego, że lubił zmieniać świat... Bywałem w Parchowie kilka razy do roku. Nigdy nie przejechałem koło rodzinnego domu, bym się przed nim nie zatrzymał. Był coraz bardziej inny od innych, aż stał się kupą gruzu. Później patrzyłem na dolinę Szprotawy już tylko z miejsca porośniętego zieloną murawą, z miejsca po moim rodzinnym domu. Wtedy już wiedziałem dlaczego był, kiedy był, inny od innych, a podobny jedynie do domów tych, którzy przyjechali tu z Gór, razem z moim tatą, mamą i bratem.

---

<sup>11</sup> właśc. Trzmielów i Parchocin

Brat Jarosio był starszy ode mnie o siedem i pół roku. To znaczy, kiedy ja się urodziłem, jego zapisali do szkoły. Było mu nijak – tak mi później opowiadał – bo nie rozumiał szkolnego języka. Mówił inaczej niż większość dzieci, płakał bodaj podobnie, może tylko częściej. Innych ułomności nie miał, może poza tą, że nie potrafił pilnować krów. Wołał słuchać śpiewu ptaków, patrzeć, jak odlatują gdzieś na południe. W Górach zostały jego samorobne gęśliki, więc nie mógł już słuchać samego siebie. Nigdy nie śpiewał. Ludzie też tu wtedy jeszcze nie śpiewali. Tylko ptaki. Aha! Miał brat jeszcze tą ułomność, że nie bardzo chciał mnie kołysać, widocznie mój najwcześniejszy śpiew nie wpadał mu w ucho.

Od kołysania była zresztą babcia Paraska. Wydaje mi się, że pamiętam jej głos, że słyszę, jak stojąc przy oknie i trzymając mnie na rękę, woła: „Mamcio, mamcio, podte pylny, bo Petrusz płacze”<sup>12</sup>. Trudno jej było dowołać się mamusi i tatusia, bo oni byli daleko, pracowali na polach sąsiadów, pracowali po całych dniach za wiaderko kartofli. Wydaje mi się, że pamiętam głos babci, ale to tylko tak chyba mi się wydaje. Nie mogę pamiętać, bo babcia była starsza ode mnie o osiemdziesiąt dziewięć lat, a dziewięćdziesiąt jeden miała, kiedy umarła. Może byłbym ją i zapamiętał, gdyby nie stara drabina, z której babcia spadła, złamała rękę i boleśnie się potłukła. Poszła umrzeć do wujka Władymira, który mieszkał w Trzmielu. Tam były lepsze warunki do umierania, bo było więcej ludzi. Wpatrując się później w jej fotografię, na której odziana była w wielką chustę z frędzlami, wydawało mi się, że skądś znam te oczy spoglądające spod rzeczonyj chusty. Ale to tylko tak mi się chyba wydawało.

Kołysały mnie też siostry Olcia i Naścia, córki ciotki Sandry. Mówię – siostry, bo w całej naszej rodzinie nie było żadnych kuzynek ani kuzynów. Byli tylko bracia i siostry, choćby i w trzecim pokoleniu – zawsze bracia i siostry. Olcia i Naścia, szczególnie ta druga, były puste jak nasz sąsiek. Raz mnie tak zakołysały, że kołyska fiknęła kozła, a one, śmiertelnie przerażone, nie były w stanie uczynić jakiegokolwiek ruchu. Wyratowałem je z trudnej sytuacji, wołając spod kołyski: „Zabyły dzecko, zabyły dzecko”<sup>13</sup>. Podobno miałem wtedy niecałe dwa latka, podobno już rozmawiałem jak stary. Podobno... Każdy ma swoje mity.

---

<sup>12</sup> Mamuś, mamuś, chodź szybko, bo Petrusz płacze.

<sup>13</sup> Zabili dziecko, zabili dziecko.

Ten mit był mi, a bardziej może mamie i tatowi, niezmiernie potrzebny wtedy, kiedy zaniemówiłem na dwa lata. Nie przez tą kołyskę, a przez koklusz. W opinii sąsiadek byłem już na tamtym świecie. Pozostawiały mi czasu tylko do zachodu słońca, szukały już zasłon na okna. I podobno, kiedy mama bardzo przejmująco zapłakała, przemówiłem: „Ne płaczte, mamus, ja was ne łyszu”<sup>14</sup>. Podobno... Każdy ma swoje mity... Prawdą jest natomiast to, że życie zachować, a później odzyskać mowę, pomógł mi Niemiec Benes. On się przyjaźnił z tatą i z mamą, choć wcale nie byli banderowcami. On przywrócił i mamie straconą za wcześniej młodość. Po przyjeździe na tą dolinę nad Szprotawą nie mogła znaleźć dla siebie miejsca. Zupełnie nie mogła zrozumieć, dlaczego tak nagle, z dnia na dzień, przyszedł do głowy wielki szum, jak gdyby Sochiv po wielkiej burzy wezbrał, nie mogła zrozumieć, czemu zaczęły wypadać jej włosy. Wyłysiała na kolano, a przecie kobieca uroda, bodaj zwykła człowiecza, była jej tak bardzo potrzebna, tak bardzo. Benes przywrócił jej gęste włosy, które długo, długo jeszcze były czarne. A mi Benes też coś tam przywrócił i przyniósł jeszcze kolorowego bąka, którym bawiłem się tak długo, aż go zapamiętałem.

Pierwsze zaś zdarzenie, które należy niewątpliwie do mojej własnej pamięci, to porąbane palce Kazika, kolegi z sąsiedztwa. Miałem wtedy niecałe cztery lata, a tato małą, zgrabną siekierkę. Służyła mu do majstrowania. Taty nie było tego dnia w domu, ale siekierkę zostawił. Poszliśmy z Kazikiem do drewnutni. On podstawiał na kobyczkę<sup>15</sup> patyki, a ja ciąłem, rąbałem z zapamiętaniem. Żeby nam to sprawniej szło, zarządziłem łemkowsko-polską komendę, wykrzykując pod każde cięcie: „ciuki lecą”. „Ciukaty” w języku taty i mamy, i brata i moim, i wszystkich tych, którzy nie mówili tak jak wszyscy, znaczy „docinać” (komuś) lub bardziej prozaicznie – po prostu bawić się siekierą, niepotrzebnie kaleczyć drewno. Leciwały więc „ciuki”, a kiedy patyk okazał się za krótki – poleciała krew. I takim sposobem już we wczesnym dzieciństwie zachlapałem sobie życiorys krwią bratnią. Wrzask Kazikowej mamy był przestraszny. Wydawało mi się, że wali się nie tylko drewnutnia, ale cały świat. Ale świat się nie zawalił. Ledanowie wprawdzie wynieśli się z sąsiedztwa, w którym

---

<sup>14</sup> Nie płacz, mamusiu, ja cię nie zostawię.

<sup>15</sup> pień do rąbania drewna

małe dzieci bawią się siekierą, ale Kazika widziałem w kilka lat później w Kaczanowie z całymi, sprawnymi palcami. Aż wtedy ucichł tamten krzyk, od którego świat się walił.

Co jeszcze pamiętam z Parchowa? Na pewno wiatrak pod lasem, przy drodze do Polkowic. Tam brat paśł (starał się paść) krowy i Kubę, przeogromnego czarnego konia. Tato kupili go za pół ceny, bo nawet zawodowi handlarze końmi nie mogli sobie z nim poradzić. Biesy wstępowały w niego tylko wtedy, kiedy stawał między postronkami. Poza tym był potulny jak jagnię.

Będę w swoich wspomnieniach wracał do Kuby jak niemal do członka rodziny, będę wracał do Styjany, która jałówką przyjechała z Gór i dlatego udało jej się żyć tu tak długo. Jej matka, Łysawa, podupadła wczesnie, kaprawiały jej oczy, aż tato odprowadzili ją na spęd. Ja Łysawej nie pamiętam, ale jeśli dla rodziców znaczyła tak wiele, że przekazali mi ją do pamięci, jeśli krowa, zwykła krowa, która nie zrozumiała doliny nad Szprotawą, była odzwierciedleniem ich tęsknoty, niech ożyje w moich wspomnieniach. Będę wracał do stworzeń niby bez duszy – bo czułem ich duszę... Brat włożył na Kubę po głowie, gdy miał ją schyloną ku ziemi, gdy się paśł. Śmigał na nim jak wiatr. Galopując, trzymał się grzywy, nogi sięgały mu do połowy brzucha. Jego tylko tajemnicą pozostanie, jakim cudem nigdy nie spadł. Może opiekowała się nim rusałka Jarynka, za którą, jak za gęślami, tęsknił w ptakach. Jeśli tak, jeśli duch Jarynki był koło niego, cudem by było – gdyby spadł.

Nad Szprotawą, jakiś kilometr w górę rzeki, stał Pałac. Piszę go z dużej litery nie dla szacunku, ale że był niczyj, niech więc to będzie jego imię własne. Mówił mi brat, na pewno mi mówił, choć powtarzał mi to i ojciec, kiedy jeździliśmy do ciotki Sandry, że w Pałacu mieszkaliśmy jakieś dwa tygodnie, zaraz po przyjeździe z Gór. To było nie do zniesienia, mieszkać w tym Pałacu. Nie z jakichś arystokratycznych uprzedzeń (po mieczu pobrzmiwała w nas pamięć o bojarskim pochodzeniu). Nie dlatego też, że miał tylko przerażające otwory zamiast okien, bo dom, do którego później przyszlismy, w którym przyszedłem na świat, również miał tylko otwory zamiast okien. Pałac przytłaczał nas swoim ogromem. Matka gotowała połudенок<sup>16</sup> na podwórzu przed Pałacem, na ułożonym

---

<sup>16</sup> obiad

z cegieł „piecyku”. Nie wiem, co wrzucała do garnka, tego mi ani mama, ani tato nie dopowiedzieli i już nie dopowiedzą.

Nie wiem, co wtedy jedliśmy. To był gorący lipiec, grzyby jeszcze nie rosły. Zaczęły rosnąć jesienią. Niesamowicie! Ludziska nie przynosili je w koszach, a przywozili wozami. Niesamowicie! Podobno tej samej jesieni w Górach grzyba nie uświadczyl. Lachy mówiły, że grzyby poszły za Rusinami. Może i poszły, kto ich tam wie, może posiała je Jarynka, może przybyła na jesiennej chmurze i je posiała, choć przecie jesień to nie jej czas.

Chodziliśmy do Pałacu z Jarosławem i z Olcią i Naścią, to znaczy – ja za nimi biegałem. Łaziliśmy po ogromnych komnatach, tak ogromnych, że w niejednej z nich zmieściłby się cały nasz dom. Tylko do piwnic nie wchodziliśmy. Zaglądaliśmy tylko w przepaściste ciemności z obawą, że mogą tam być Niemce. Nie wiem, doprawdy, czemu tak obawiali się ich ludzie, przecie, gdyby byli tacy straszni, nie chowaliby się w piwnicach. Poza tym tato tak fajnie o nich opowiadali, to znaczy nie o tych prawdziwych Niemcach, a o tych normalnych. Pracował u nich wiele lat, nawet śmiesznie mówił po ichniemu. Mówił, że... Zresztą tego jeszcze dobrze nie pamiętam, opowiem, kiedy będę duży i trochę mądrzejszy.

Teraz tylko, właśnie teraz opowiedzieć muszę o jednej dorosłej sprawie, bo później musiałbym się wracać jak Łysawa, co nawet cielną nie chciała zostać nad Szprotawą.

Sąsiadka, może nie ta sama, może inna, ale mówię sąsiadka, bo nie pamiętam nazwiska, wrzasnęła kiedyś: „banderowce!”. Wrzasnęła tylko raz. Tato był bystry chłop i nie zamierzał przyjmować do siebie takich oryginalnych pochlebstw. Nie! Nie zrobił jej krzywdy, przestraszył tylko na tyle skutecznie, że poczuła respekt albo doszła do przekonania, że tato naprawdę jest „tym, no”. Więcej nie powtórzyła tamtego słowa. Tylko raz wtedy wrzasnęła i o tym, że Teodora tak łaskawie nazywać niebezpiecznie, powiedziała zapewne kumoszkom. Bo nie mieliśmy więcej tego rodzaju pieszczotliwych kłopotów. Inni, podobno, mieli. Między nimi mój pierwszy wujek od ciotki Sandry, Sztefan. Wielkiej dobroci człowiek, choć trochę ciepła woda chłop. I dlatego chyba się zabił. Spłoszył mu się Gniady i musiał skakać z wozu. Trafił głową na przydrożny betonowy słupek.

Pamiętam ten pogrzeb, przyjechaliśmy z Trzmiela, miałem sześć lat. Trumna leżała na krzesłach pośrodku asfaltu, bo dom stał przy samej